

# Joanna Fligel: Święto Zmarłych

Moja matka gotowała bigos.

Moja babka gotowała bigos.

Raz w roku gotowały bigos.

Raz w roku jedliśmy ten bigos

po powrocie z cmentarza.

Boże, co to był za bigos. W wielki garnku

dusiły się w kapuście wszystkie rodzaje mięsa

z poprzednich tygodni. Te rosołowe, i te smażone

i te niedosmażone, i te wystane na kartki.

I ta kapusta z najprawdziwszej beczki,

kupowana w jarzyniaku u pani Jadzi,

która miała dla każdego sprośną anegdotę.

Dlatego każdy chciał mieć tę kapustę od pani Jadzi.

I szło się z bananem

na twarzy

z jarzyniaka do domu. Połowę

zjadło się po drodze, bo nie było nic

smaczniejszego do tej kapusty kiszzonej,

wydeptanej przez panią Jadzię bosymi stopami.

Do tej kapusty wrzucało się grzyby, z robakami,

czasem bez robaków, jeśli chciało się je namoczyć.

Nikt do bigosu nie wkładał suszonych śliwek. Nikt!

Trochę przecieru pomidorowego, żeby zapuścić kolor,

ale nigdy śliwek.

Trochę świeżej kapusty, cebuli, ziela angielskiego,

liście laurowe, sporo ziaren pieprzu,

ale nigdy śliwek!

I siadało się

przy okrągłym stole, między braćmi mamy,

którzy robili psikusy, jakby był Halloween,

choć nikt o Halloween nie słyszał.

Po bigosie dostawaliśmy cukierki,

owinięte w papierki z nadrukiem żołnierza.

I nikt. Nikt!

Nikt nie rzucał papierków.

Każdy glancował papierek i wkładał do swojego pudełka.

Podziwialiśmy swoje kolekcje

i każdemu się zdawało, że tego drugiego jest lepsza.

Czasem, gdy już miał taki sam papierek, to się z kimś wymienił.

Żołnierzyki były kolorowe, jak żywe. Zresztą wszyscy byli żywi:

babcia, dziadek, tata i brat mamy.

Człowiek nie zdawał sobie sprawy, że to takie było Święto

Żywych!